

## MOŚCICKI

Wystarczy skończyć szkołę podstawową, by zetknąć się na lekcjach historii z nazwiskiem Ignacego Mościckiego (1867—1946). Ale fakt przynależności do grona najbardziej znanych postaci naszej historii najnowszej zawdzięcza Mościcki przede wszystkim zajmowaniu przez 13 lat urzędu prezydenta Rzeczypospolitej, nie zaś własnym talentom politycznym. W tej akurat kwestii historycy są zgodni — był on politykiem najwyżej miernym.

Równocześnie niemal nieznaną pozostaje Ignacy Mościcki — wybitny uczyony, wynalazca i organizator przemysłu. Wszystkie jego przedsięwzięcia naukowe kończyły się oszałamiającymi sukcesami, które z emigranta, będącego pomocnikiem londyńskiego fryzjera, uczyniły człowieka zamożnego, o światowej sławie naukowej. A nie był on typem uczonego gabinetowego, jego wynalazki miały jak najściślejsze zastosowanie praktyczne, powstawały zresztą na konkretne zamówienia, przy czym jedno odkrycie pociągało za sobą następne. Na dodatek potrafił być również świetnym organizatorem przemysłu. Objąwszy w 1922 r. dyrekcję fabryki karbidu i azotniaków w Chorzowie, pomimo niemieckiego sabotażu potrafił w ciągu dwóch tygodni uruchomić kombinat, a następnie powiększyć jego produkcję i wychować solidną kadre przemysłu chemicznego.

Te dwa oblicza Mościckiego dostrzeżemy i w „Autobiografii”, której fragmenty „polityczne” są dużo bardziej mdłe i mniej ciekawe od opisów jego działalności naukowej.

W bieżącym numerze „Tygodnika Polskiego” rozpoczynamy publikację I części całości wspomnień wieloletniego prezydenta. Chciałbym z tej okazji, w imieniu redakcji podziękować naszemu współpracownikowi Zbigniewowi Świąchowi, który był inicjatorem opublikowania „Autobiografii” Mościckiego, a także uzyskał dla nas zgodę na druk w nowojorskim Instytucie Józefa Piłsudskiego.

JMN

## DOSTATNIE DZIECIŃSTWO

## I

Urodziłem się w Mierzanowie, w ziemi płockiej, dnia 1 grudnia 1867 roku, jako syn ziemianina Faustyna i Stefanii z Bojanowskich.

W Mierzanowie pozostawałem przez pierwszych kilka lat mojego życia, później przeniósł się ojciec do Klic, które odziedziczył po dziadku. W roku 1877\* przenieśliśmy się do majątku Skierbieszów, w ziemi lubelskiej, który został zakupiony wraz z przyległymi do niego folwarkami, po sprzedaży Klic.

Ojciec mój brał czynny udział w powstaniu 1863 roku, jako dowódca oddziału partyzanckiego, pod pseudonimem Markiewicz Pod Rydzewem, ziemi płockiej, w walce zwycięskiej dla powstańców, zginął młodszy brat ojca Jan; był on adiutantem swego brata, o dziesięć lat od niego starszego.

Po upadku powstania przebywał ojciec przez cały rok w Dreźnie. Gdy powrócił z emigracji, był kilka razy więziony pod groźbą rozstrzelania. Dziadek mój Walenty brał udział w powstaniu 1831 r.

Charakter mój odznaczał się dużą wrażliwością psychiczną. Mocny mój temperament z postępującym wiekiem stawał się coraz bardziej opanowany. Na ogół robiłem wrażenie bardzo spokojnego chłopca i wybuchałem silnie tylko w chwili wielkiego podrażnienia. Granica ta z dojrzwaniem coraz bardziej się oddalała, tak że z czasem rzadko już dawałem upust stanom emocjonalnym.

Wychowywałem się w nadzwyczajnej swobodzie. Stąd zjawilo się u mnie bardzo wczesnie poczucie odpowiedzialności własnej; przyczynilo się do tego niewątpliwie wielkie zaufanie, jakim mnie rodzice darzyli. Już jako dziewięcioletni chłopiec odbywałem sam dalsze podróże kolejowe a miewałem jeszcze pod swoją opieką młodszego brata. Wyjątkowej rozwadze mojej zawdzięczałem zapewne, że pomimo moich dziewięciu lat, nie zabraniali mi rodzice uganiać samemu po polach z dubeltówką.

Duża siła fizyczna, która w naszym rodzie panowała, miała też pewien wpływ na formowanie się charakteru. Mając lat czternaście, zabiłem pierwszego dzika, który ważył 120 kg. Dzika tego, biorąc za nogi, podnosiłem na wysokość ławki. Dzięki tej sile czułem się wszędzie pewny; w szkole średniej, będąc zawsze najsilniejszym w klasie, nie podlegałem terroryzowaniu i dokuczaniu, kolegów, sam też nie wykorzystywałem swojej siły w stosunku do nich.

Te warunki, wśród których danym mi było wychowywać się w domu i szkole, miały wielki wpływ na wyrobienie u mnie poczucia godności osobistej.

Bardzo już wczesnie, bo w pierwszej klasie gimnazjalnej, w Zamościu zacząłem z własnej inicjatywy walczyć z uciskiem rusyfikacyjnym zaborcy.

Było to podczas wojny rosyjsko-tureckiej. Po każdym zdobyciu twierdzy tureckiej, czy to Plewny czy Szpiki, prowadzono uczniów, w ogromnej większości rzymskokatolickiego wyznania, na dziękczynne nabożeństwa do cerkwi prawosławnej. Wówczas to właśnie, już jako dziesięcioletni chłopiec, opierałem się temu przymusowi.

Każde tego rodzaju przewinienie musiałem odpokutować; zamykano mnie w klasie na kilka godzin. Była to dla mnie kara o tyle dotkliwa, że odsiadywanie jej wyznaczono na dni wolne od zajęć. Nie zwracałem również uwagi na zakaz mówienia w szkole po polsku, za co również karano.

Gdy umarł ksiądz rzymskokatolicki, skorzystano z tego i powierzono prowadzenie nauki religii w całej klasie duchownemu prawosławnemu. Pop rosyjski, chcąc zdobyć popularność w klasie, stawiał nam dobre stopnie, pomimo żeśmy przychodzili nieprzygotowani na lekcje. Z tej racji oczywiście żadnego konfliktu z władzami nie było. Gdy po upływie kilku miesięcy przyszedł znowu ksiądz katolicki i zaczął stawiać duże wymagania, znalazło się dwóch chłopców z klas wstępnej którzy prosili władze szkolne o posyłanie ich na lekcje religii do popa. Ojcowie nawrócili jednak szybko swych synów, metodą dotkliwą, na wiarę katolicką.

Zrażony represjami szkolnymi, oświadczyłem rodzicom zaraz po przyjeździe na

letnie wakacje, że do Zamościa nie wrócę, dalszą zaś naukę pobierać pragnę w Warszawie, w szkole prywatnej; nie chciałem być narażony nadal na konflikty z władzami szkół rządowych. Życzeniu memu stało się zadość.

W warszawskiej średniej szkole realnej, w której pozostawałem aż do jej ukończenia, miałem dużo czasu na wchodzenie w głąb siebie. Rozpocząwszy naukę znowu od klasy pierwszej, przechodziłem z klasy do klasy z dużą łatwością, bez żadnej pomocy pozaszkolnej. Ułatwiały mi to moje zdolności matematyczno-przyrodnicze; natomiast co do nauk pamięciowych, to nie tylko natrafiałem na duże trudności, ale brakowało mi do nich także ochoty. Traktowałem je pobieżnie i tylko tyle uwagi im poświęcałem, by nie być zmuszonym powtarzać klasy. Niejednokrotnie też, z powodu tych trudności, o ile miałem większe zadania pamięciowe, a istniało prawdopodobieństwo, że będę pytany, decydowałem się raczej pozostać na drugi dzień w domu i poświęcić ten czas na przemyślenie zjawisk życiowych. Dawało mi to dużo zadowolenia, a pozostawiony nawet dłużej własnym myślom, nigdy się nie nudziłem.

To omijanie w szkole średniej zadań pamięciowych wytworzyło pewne braki w moim późniejszym życiu; miałem duże trudności w szukaniu formy wyrażania swych myśli w słowie i piśmie. Nie przychodziło mi to automatycznie, jak u wielu innych ludzi. Również nauka obcych języków była dla mnie, z tych powodów, niełatwym zadaniem.

Za to miałem dużą łatwość przy studiach w dziedzinie nauk więcej ścisłych; nie polegając na pamięci, wyrabiałem w sobie zmysł kombinacyjny, ułatwiający mi wnikiwanie w głąb danej nauki. To zaś, wespół z wyrobieniem przestawnym myślenia, miało później decydujące znaczenie przy pracy naukowo-twórczej.

Dzięki bardzo wczesnemu wyrobieniu w sobie pełnej samodzielności, poświęcałem, już od pierwszych lat szkoły średniej, wiele czasu na wyrabianie w sobie różnych cech, koniecznych dla umocnienia mego charakteru. Toteż, o ile w domu rodzicielskim mogłem korzystać z pełnej wolności i swobody, to później sam narzucałem sobie bardzo surowy rygor własny. Usłyszałem na przykład, że jedzenie ciastek zamula żołądek, to pomimo że mi smakowały, przestałem je jadać. Będąc w trzeciej klasie, przeczytałem, że twarde łożo hartuje, bezzwłocznie wyrzuciłem materac i zacząłem sypiać na deskach przykrytych tylko prześcierałem. A że byłem kościstej budowy, przeto leżenie przez szereg godzin na tego rodzaju postaniu było po prostu bolesne, a każda noc męczarnią. Zamiast pokrzepiającego snu, miałem tylko rodzaj drzemki, przerywanej ciągłymi przebudzeniami. Mordowałem się tak przez miesiąc w nadziei, że wreszcie się do tego przyzwyczaję. I nie wiadomo, jak by się skończyła ta próba wzmocnienia charakteru — organizm protestował bowiem już mocno przeciw takiemu maltretowaniu — gdyby nie malaria z bardzo wysoką temperaturą, która uratowała sytuację. Nie protestowałem już, gdy mnie przenoszono na materac, a nawet miałem satysfakcję, że to nie ja złamałem swoje postanowienie. Choroba była złośliwa, wracała kilkakrotnie i dopiero w czwartej klasie pozbyłem się jej. Wierzyłem, że to nie lekarzom zawdzięczałem wyleczenie, a matce, która na wsi leczyła mnie piołunówką.

Po tym co zaszło, nie wróciłem już do twardego łoża. Zawód, jakiego doznałem w tym wypadku w hartowaniu woli, nie zmienił mego rygorystycznego stosunku do siebie.

W piątej klasie zaprzestałem gry w szachy, której nauczył mnie ojciec, gdy miałem lat siedem i której potem wiele wolnych chwil poświęcałem, znajdując w tym wypadku w hartowaniu woli, nie zmienił mego rygorystycznego stosunku się szukać rozrywek fizycznych, na świeżym powietrzu, zmieniłem szachy na łódkę. Do tej pory w Warszawie rozrywek fizycznych nie uprawiałem. Jedyne w czasie wakacji, spędzanych na wsi, jeździłem konno i polowałem namiętnie w obszernych lasach skierbeszowskich.

Ojciec mój był bardzo gościnnie i lubił wytwarzać wokół siebie nastroje radosne, mimo że sam, od czasu powstania, nie mógł pozbyć się smutku. Toteż letnią porą zjeżdżali do nas goście z bliska i z daleka, a podczas każdorazowych wakacji szkolnych panował wszechwładnie gwar i wesołość w dworze skierbieszowskim. Odnosiło się wrażenie, że żadna troska nie ma tu dostępu.

Ciekawe było, że już przedtem dobrobyt, który mnie otaczał, wytwarzał we mnie upodobania wprost odwrotne; skonkretyzowanie moich poglądów nastąpiło jednak dopiero po uroczystości weselnej. Uświadomiłem sobie wówczas, że smak mój w formowaniu życia prywatnego odbiega zupełnie od tego na co patrzyłem w Skierbieszowie: odpowiadało mi bowiem życie proste i skromne, a wszelki przesyt w jedzeniu i piciu nie był w moim guście. Mieszkanie, które nie budziło żadnej zazdrości w otoczeniu, najbardziej mi dogadzało — czułem się w nim dobrze. Uważałem natomiast, że gmachy publiczne, dostępne dla szerszej publiczności, powinny być stawiane z uwzględnieniem najwyższego piękna.

Z tych samych racji nie nosiłem na sobie niczego ze złota i nawet wytworzyła się we mnie pewnego rodzaju próżność w przeciwnym kierunku: bałem się, aby mnie nie posądził ktoś, że się lubuję w drogocенnościach.

Po ukończeniu szkoły średniej miałem znowu przykład rygorystycznego panowania nad sobą. Byłem zapalonym myśliwym. Razu pewnego, po zastrzeleniu sarny, podbiegło do niej małe sarniátko i odniosłem wrażenie, że łyzy roni. I to była kropla, która przelała kielich. Od tej chwili postanowiłem więcej nie polować, bo sądziłem, że należy uwolnić się od tej „dzikości” atawistycznej. Postanowienie swoje wykonałem i przez 40 lat nie strzelałem do zwierzyny. I dopiero będąc prezydentem wziąłem znowu udział w polowaniu w lasach spalskich.

## II

W klasie piątej i szóstej, kiedy miałem lat 15—16, nastąpiła u mnie wzmocniona praca myślowa nad całą moją filozofią życiową. Czułem, że mój stosunek do świata zewnętrznego nie jest jeszcze dostatecznie skryształizowany, brak mu jest bowiem logicznego związania i zharmonizowania. Do tej pory miałem do czynienia tylko z fragmentami, nie powiazanymi jeszcze w jedną logiczną całość.

Widziałem przede wszystkim, że moje postawy etyczne, oparte przeważnie na uczuciach wyniesionych z domu rodzicielskiego, nie są dostatecznie ugruntowane. Ojciec, którego nie tylko kochałem, ale i szanowałem, jako człowieka szlachetnego, z poczuciem honoru i wielkiego patrioty, nie mógł już, po klęsce powstania 1863/64, przyjść do dawnej swej energii życiowej. Prowadził on życie w sobie zamknięte i prawie zupełnie nie udzielał się dzieciom. Jednak sama jego szlachetna postać wywierała wpływ na początkowe urabianie moich nastawień i upodobań życiowych.

Już jako mały chłopiec, w domu rodzicielskim, miałem zapoczątkowany kierunek rozwojowy, od którego nigdy nie odstępiałem. Wszelka moralna brzydota ludzka z której mogłem sobie zdać sprawę, przejmowała mnie już wówczas wstrętem. Czułem potrzebę tak mocnych podstaw etycznych, aby móc zachować drogę życiową zapoczątkowaną w warunkach szczególnie sprzyjających. Do tego, a nie innego kierunku mego dojrzewania byłem przywiązany. Chciałem więc stworzyć w sobie dostateczną odporność przeciw szkodliwym wpływom środowisk, wśród których mógłbym w przyszłości przebywać. A ponieważ podstawy religijne uważałem dla siebie za jeszcze niedostatecznie chroniące, szczególnie przy uczestniczeniu w wirze życia, przeto musiałem się zabrać do pracy nad sobą. Poświęciłem jej wiele czasu i energii, w końcu jednak tak się opancerzyłem, że ze spokojem patrzyłem w przyszłość.

cdn.